

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego № 21 m. 6.
Czynne od g. 12—2 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 80 zł.
1/2 " — 40 "
1/4 " — 20 "
1/8 " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Są sędziowie w Hadze.

D. 11 b. m. zapadł wreszcie długo wyczekiwany wyrok Trybunału Haskiego w sprawie interpretacji statutu kłajpedzkiego. Przypominamy tu pokrótce okoliczności, towarzyszące tej całej sprawie.

W połowie grudnia r. ub. udał się do Berlina bez wiedzy rządu litewskiego ówczesny prezes dyrektorjatu Kłajpedzkiego Boettcher wraz z członkami sejmiku Gubbą i Baltramejusem, dla prowadzenia samodzielnych układów z rządem niemieckim. Gdy podróż ta stała się publiczną tajemnicą, a zwłaszcza, gdy stało się wiadomem, że koszty podróży pokryła Kasa Dyrektorjatu i że członek dyrektorjatu Puodžius jeździł również nielegalnie do Królewca, w sprawie programu szkół kłajpedzkich — przedstawiciel rządu litewskiego w Kłajpedzie gubernator Merkys dopatrywał się w tych postępkach cech zdrady stanu i złożył z urzędu zarówno Boettchera jak i cały dyrektorjat. Gubernator Merkys nie cofnął się nawet przed użyciem siły, aresztując opornego Boettchera. Dalszym krokiem rządu litewskiego było mianowanie nowego prezesa dyrektorjatu Simajtisa. Ten ostatni nie uzyskał jednak od sejmiku przepisowego votum zaufania. W odpowiedzi na to, Merkys rozwiązał sejmik i rozpiął nowe wybory.

W międzyczasie rozpoczęła się zarówno w Kłajpedzie, jak też w Niemczech niesłychana nagonka na rząd litewski. Prasa niemiecka posunęła się w swych napaściach i inwektywach aż do stosowania pod adresem Litwy nieparlamentarnych wyrażen, w rodzaju: „Raubstaat”, „Banditenvolk” i t. p. Pod presją niemieckiej opinii publicznej, rząd Brueninga wystosował na ręce Rady L. N. skargę, formalnie od imienia mocarstw—sygnatarjuszy, które w swoim czasie podpisały Konwencję Kłajpedzką (Francja, Anglja, Włochy, Japonja). Genewa sprawy nie rozstrzygnęła, przeto skierowano ją do Nieustającego Trybunału Sprawiedliwości Międzynarodowej w Hadze.

Tymczasem w Kłajpedzie, po rozpisaniu wyborów do nowego sejmiku rozwinęli Niemcy tamtejsi, inspirowani i subsydjowani przez niemieckiego konsula niesłychanie intensywną agitację przedwyborczą, mającą w rezultacie wykazać niemieckość Kłajpedy.

Istotnie, nieprzebierająca w środkach akcja niemiecka doprowadziła do wzmocnienia elementu niemieckiego lub zniemczonego w sejmiku, który już w poprzednim swym składzie był wystarczająco opozycyjny względem Kowna. Rzeczą prostą, dyrektorjat Simajtisa musiał podać się do dymisji. Władzę objął dyrektorjat Schreibera. Ostry kurs rządu musiano złagodzić. Gubernator Merkys ustąpił ze swego stanowiska. Niemcy kłajpedzcy i ościenni triumfowali.

Trybunał Haski zajął się w tym czasie rozpatrzeniem przedłożonych sobie przez państwa—sygnatarjuszy 6 ciu kwestyj w sprawie Kłajpedzkiej: 1) Czy gubernator Kłajpedzki ma prawo odwoływania prezesa dyrektorjatu? 2) W wypadku pozytywnym, czy prawo to istnieje jedynie z pewnymi zastrzeżeniami lub w pewnych okolicznościach? Jeżeli tak, to jakie są te zastrzeżenia i okoliczności? 3) W wypadku przyznania gubernatorowi prawa odwoływania prezesa dyrektorjatu, czy odwołanie to prowadzi również do zawieszenia w czynnościach również innych członków dyrektorjatu? 4) W wypadku istnienia prawa odwoływania prezesa dyrektorjatu jedynie z pewnymi zastrzeżeniami lub w pewnych okolicznościach, czy odwołanie p. Boettchera, które nastąpiło 6 lutego 1932 r. jest zgodne z okolicznościami, w jakich nastąpiło? 5) Czy w okolicznościach, w jakich nastąpiło odwołanie p. Boettchera, utworzenie dyrektorjatu p. Simajtisa jest zgodne z prawem? 6) Czy rozwiązanie sejmiku, dokonane 23 marca przez gubernatora Kłajpedzkiego, gdy dyrektorjat p. Simajtisa nie uzyskał votum zaufania sejmiku, jest zgodne z prawem?

Po długich, przeszło dwumiesięcznych debatach, Trybunał ogłosił 11 b. m. swój wyrok, będący odpowiedzią na wyliczone powyżej 6 kwestyj, a więc: 1) gubernator Kłajpedzki *może odwołać* prezesa dyrektorjatu, kiedy zachodzą wypadki wykroczenia wobec Konwencji z 8 maja 1924 r. i jej aneksów oraz naruszenia suwerenności Litwy. Odwołanie prezesa dyrektorjatu jest środkiem ochrony interesów państwa i następuje wtedy, gdy niema innych sposobów tej ochrony; 2) Odwołanie samo przez się nie zwalnia innych członków dyrektorjatu od sprawowania swych czynności; 3) Odwołanie, które nastąpiło w okolicznościach, jakie miały miejsce przy

odwołaniu p. Boettchera w d. 6 lutego 1932 r. ze stanowiska prezesa dyrektorjatu jest zgodne z prawem; 4) Trybunał odrzuca przedłożoną przez rząd litewski tezę w sprawie utworzenia dyrektorjatu Simajtisa i rozwiązania sejmiku; 5) Utworzenie dyrektorjatu Simajtisa w okolicznościach, w jakich miało ono miejsce jest zgodne z prawem; 6) rozwiązanie sejmiku d. 22 marca 1932 r. nie jest zgodne z prawem.

Jak z powyższego widzimy, Trybunał w 4-ch punktach przyznał Litwie rację, zaś w 2-ch — nie. Słuszność też litewskich przyznana była w punktach najważniejszych, a mianowicie w sprawie możliwości odwołania prezesa dyrektorjatu. Tem samym, osiągnęła Litwa to, do czego cały czas — zarówno w Genewie, jak i Hadze — dążyła: uznanie formalne i faktyczne suwerenności litewskiej na autonomicznym obszarze Kłajpedy. Juryści niemieccy, wraz z sędziami: holenderskim, hiszpańskim i kubańskim starali się przeprowadzić tezę, że preza dyrektorjatu złożony z urzędu może jedynie sejmik, przez wyrażenie mu votum nieufności. Tezę tę Trybunał Haski 10-ciu głosami przeciwko 5-ciu odrzucił. Litewski punkt widzenia odniósł zwycięstwo.

Na tem właśnie polega znaczenie sukcesu Litwy w Hadze. Wbrew niemieckim nadziejom i niemieckiej presji, republika litewska wyszła z Hagi „z podniesionem czołem” — jak się szczęśliwie wyraziło jedno z pism kowieńskich.

Wyrok Haski spotkany został w Litwie ze zrozumiałem zadowoleniem, acz bez zbytniego entuzjazmu. Litwini aż nadto dobrze zdają sobie sprawę, że wyrok nie przesądza dalszych trudności rządu centralnego na terenie Kłajpedzkim. Wprawdzie — jak się wyraził min. Zaunius podczas sprawozdawczego przemówienia w kowieńskim Teatrze Państwowym w d. 15 b. m. — „spadł Litwinom z serca już nie kamień, a cała góra”, jednak odnosi się to przedewszystkiem do sytuacji Litwy na forum międzynarodowym, gdzie Litwa w ostatnich miesiącach występowała właściwie w roli oskarżonej.

Bodaj najtrafniej ocenia znaczenie wyroku haskiego najpoczytniejsze w Litwie pismo „Musu Rytojus” (bezpartyjne): „Sukces haski nie zapewnia jeszcze istotnie ścisłej i pokojowej współpracy między Litwą a Kłajpedą. W stosunkach litewsko-kłajpedzkich destrukcyjne siły działają w dalszym ciągu. Z tego punktu widzenia Litwa w Hadze nie zwyciężyła, a tylko czasowo odparła zakusy potężnego napastnika na litewskie prawa i własność. Niema jednak żadnej gwarancji, że zakusy te nie powtórzą się w innej formie. Sprawy kłajpedzkie nie będą wywoływały trosk i bolączek dopiero wtedy, gdy Litwini zdobędą serca Kłajpedzian, oziębione przez okrutną niemieckość. Przyznać zaś trzeba, że w ciągu 10 lat mało robiono w tym kierunku. Wytoczenie Litwie sprawy w Hadze było niczem innym, jak tylko wysiłkiem niemieckim, który miał dać Litwinom do zrozumienia, że w Kłajpedzie są oni zbędni. Wysiłek ten nie dał wprawdzie spodziewanych wyników, lecz musi stanowić dla Litwinów poważną naukę. Trybunał Haski jedynie wyraźniej uznał i zatwierdził prawa Litwinów i obowiązki Kłajpedzian. Istota sukcesu haskiego będzie polegała na tem, czy i o ile zechcą i potrafią Litwini celowo z praw swych korzystać”.

Tak piszą trzeźwi Litwini o wyroku haskim. Pod tym też kątem widzenia, jako najśluszniejszym, należy na tę sprawę się zapatrywać.

Simplex.

Niewczesna gorliwość.

Rządy rosyjskie usilnie się starały zacierać ślady przeszłości i wprowadzać inowacje, nadające Wilnu charakter rosyjski. Nacisk kładziono na pomniki. Mielśmy tu pomniki Katarzyny II, Murawjewa i Puszkina. Nic dziwnego, że Mikołaj II w swoim ostatnim przejeździe przez miasto był zachwycony rosyjskim wyglądem Wilna. Zachwyceni też byli rosyjscy czar-

S. KAPNYS.

Człowiek bez twarzy.

Przełożył z litewskiego W. Zaleski.

1929 — 1904 = XXV.

I.

Pewne rzeczy mają dziwną właściwość: stale na nie patrzymy, niekiedy się dotykamy do nich, przekładamy je z miejsca na miejsce, lecz ich nie widzimy. Nasza dumna i jednocześnie lekkomyślna świadomość nie raczy niemi się interesować.

Leży sobie gdzieś na półce młotek. Jego trzonek wygładziły, wypolerowały dłonie. Koniec trzonka od częstego używania splaszczyl się, a jego główka stała się podobną do kurzego czubka. Już tak się jakoś składa, że młotek ten nigdy się nie zarzuca nigdzie i nigdy się nie psuje. Nie trzeba go szukać z przekleństwem. Jest — tuż, pod ręką. Jak tylko zachodzi potrzeba, ręka chwyta go — stuk, stuk, stuk, puk i już.

Gdyby się spytać właściciela, jak jego młotek

wygląda, odpowiedziałby: młotek, jak młotek... — Lecz jakie on ma znaki? — Znaki — zdziwiony powtórzyłby właściciel — znaki? Chyba ich nie ma... Lecz gdyby zaczął się przyglądać... — Prawda... Oto tu trochę żelaza się odbiło, cieńszy koniec się wyszczerbił, maleńkie wgłębienie z boku... Znalazłby cały szereg znaków, po których zpośród stu młotków swójby rozpoznał.

Złe rzeczy są złemi dlatego, iż stawiają nam opór, przeszkadzają nam uczynić to, cobyśmy uczynić pragnęli. Złe rzeczy wspomnianych właściwości nie posiadają. Zmuszają one nas do zaciekawienia się niemi, zbudzają w nas energję.

Idziesz boso przez podwórze, myśląc o swych sprawach przeróżnych, z głową zadartą do góry, z oczyma w jakiś niewidzialny punkt utkwionemi. Nagle uderzasz się nogą o kamień i kaleczysz sobie palce. Natychmiast nachylasz się, bierzesz przyczynę nieszczęścia, oglądasz ze wszystkich stron i krzyczysz: jaki ostry kamień! Ze złością rzucasz go w ustronniejsze miejsce, by nie płatał się więcej pod nogami.

Jakiś marny, nic niewarty instrument zmusza nas do zapoznania się z nim, do zbadania wszystkich detali, do znalezienia braków, wgłębienia się

nosecińcy, zdawało się im bowiem, że stawianie pomników, umieszczanie orłów dwugłowych i napisów rosyjskich zbliża Wilno do Moskwy nie tylko zewnętrznie, ale i duchowo. Biedakom tym nie przychodziło do głowy, że nic tak nie drażniło ludności wileńskiej i nie zachęcało do buntu przeciwko ciemiężycielom, jak prowokacyjne pomniki Murawjewa i Katarzyny. Jako symbole ucisku budziły odrazę i chęć odwetu.

Z punktu widzenia rosyjskiej racji stanu brutalna rusyfikacja była polityką mylną, jako prowadząca do wręcz przeciwnych wyników: eksperymenty Murawjewa i jego następców nie tylko nie zruszczyły Wilna, lecz budziły w jego mieszkańcach mocne uczucie patriotyzmu.

Niestety tej prostej prawdy niezdolni są zrozumieć ci, którym los kazał decydować o obecnym wyglądzie Wilna. Z początku usuwano rosyjskie pozostałości niezdecydowanie. Kapliczka na dzisiejszym placu Orzeszkowej, wzniesiona ku pamięci Rosjan, zabitych w powstaniu, prawdopodobnie stałaby do dnia dzisiejszego, gdyby jej nie zburzyli... bolszewicy. Zaczęto od tego czasu Wilno odruszczać w bolszewickim tempie i tak się zagalopowano, że niebawem wpadnięto w drugą ostateczność: chciano Wilno upodobnić do Warszawy. Zniknęły takie nazwy ulic jak Błagowieszczeńska, Suworowska. Bardzo pięknie, lecz poco wymazano nazwy o znaczeniu historycznym, jak ogród Botaniczny, część ulicy Antokolskiej i inne? Ukazały się nazwy ulic na cześć rozmaitych uznanych i nieuznanych bohaterów, lecz z pietyzmem zachowano ul. Kijowską. Czyżby przez pamięć na ostatnią wyprawę kijowską?

Znacznie gorzej jest z innymi poczynaniami, mającymi podkreślać polski charakter miasta. Rosjanie tak czuli się pewnie w tym kraju, że nie uważali za niebezpieczne zachowanie godła W. Ks. Litewskiego—Pogoni na Zielonym Moście. Inaczej tradycyjny herb potraktowali nasi ojcowie miasta czy też władze administracyjne, gdyż o jego niedawnej obecności świadczy tylko niezamalowana sylwetka na szerokiej sztabie żelaza.

w przyczynę, z powodu których źle funkcjonuje. Złościśmy się, nerwujemy, myślimy, próbujemy, mobilizujemy wszystkie swoje zdolności, by tylko go poprawić, by tylko zmusić go do posłuszeństwa.

Nie, złe rzeczy nie mogą być nie zauważonemi. One, jak małe, rozpieszczone dziecko, wymagają, by nasza świadomość, niby troskliwa niańka, stale kręciła się koło nich.

Ludzie również podlegają swemu losowi. Najwyżej zwłaszcza, w jakimś środowisku, jeden albo dwaj zwracają na siebie uwagę, inni zaś pozostają tylko nieciekawym dodatkiem. Niektórzy ludzie cały wiek swój przeżyją i umrą, nie ściągnawszy na siebie niczyjego wzroku. Jakgdyby twarzy nie mieli...

Jeszcze małym będąc, widziałem takiego człowieka. W naszej wsi mieszkał niezamożny włościanin Wasajtis. Jak teraz pamiętam jego płowe, miękkie, obwisłe wąsy, jasno błękitne, jakgdyby w głąb zapadłe, oczy i rudą, zda się łuską oblepioną, twarz o łuszczącej się skórze. Jego dom, stojący w końcu wsi, nieco pochylony, porośły zielskiem zielonym i szarą słomą nastroszony, zawsze mię wabił ku sobie. Jaby tam przesiadywał tam dni całe, gdybym się nie bał jego żony — chudej, z wystającym brzuchem, wiecznie niezadowolonej, wiecznie krzyczącej,

Ale l'appetit vient en mangeant, to też przesada z każdym dniem pogłębia się. A najbardziej ta gorliwość niewczesna występuje w najbardziej czułym miejscu Wilna—w Ostrej Bramie.

Jak wiadomo, na zewnętrznej stronie kaplicy Ostrobramskiej od strony ulicy Bazylijańskiej widnieje wysoko w górze Pogoń, umieszczona prawdopodobnie przy budowie kaplicy. Widocznie władze opiekuńcze czuły się tem conajmniej pokrzywdzone, skoro uważały za konieczne zrewanżować się umieszczeniem poniżej olbrzymiego Orła Białego. Dzięki temu dzisiaj rzesze wycieczkowiczów z dalekich zakątków Polski z zachwytem mówią o polskości fundatorów kaplicy, a ze zdumieniem o tolerancji Rosjan, którzy nie odważyli się jednak usunąć narodowego godła polskiego...

Gdy kilka lat temu z koronacji obrazu zrobiono olbrzymią manifestację polityczną i na krótki czas na kaplicy umieszczono napis „Królowo korony polskiej”, zdawało się, że wszystkie możliwości wyzyskiwania uczuć religijnych w celach politycznych zostały całkowicie wyczerpane i będzie z tem spokój. Lecz pomysłowość wileńskich Obstaw znalazła nowe pole do popisu. Sposobność ku temu nadarzyła się przy tegorocznym odnawianiu kaplicy ostrobramskiej. Rozpoczęto te prace pod hasłem przywrócenia dawniejszego wyglądu kaplicy. Wymagały tego przecież i szacunek dla zabytków historycznych i elementarne zasady konserwatorskie. Trzebaż wypadku, że tu właśnie zaczyna mścić się grzech z poronionym pomysłem umieszczenia Orła. Mianowicie, obok wielkiej wnęki, zajętej przez Orła Białego odkryto dwie wnęki mniejsze, które obecnie zostały bardzo brzydko zniekształcone dzięki sąsiedztwu z wnęką przeznaczoną dla Orła. Zamiast tedy, zgodnie z wymaganiem rekonstrukcji, usuwać z budowli późniejsze naleciałości i odsłonić szczegóły o wyglądzie pierwotnym — dzieje się wręcz przeciwnie: pozostawiono na kaplicy Ostrobramskiej dodatek naszych hurapatrjotów, wskutek czego osobliwości budynku zostają ukryte pod skrzydłami Orła Białego. Jest to fakt, niezmiernie charakterystyczny dla

jakgdyby i ludzie i zwierzęta zrobili przeciwko niej spisek, postanawiając wszystko robić jej na złość, — wiecznie ruchliwej kobieciny oraz gromadki oberwanych, lubiących płatać figle dzieci, których śmiechy i żarty nie obchodziły się bez moich łez. Ciągnęła mię ku sobie dwurzędowa harmonja Wasajtisa, na której on cudnie, tak mi się wówczas zdawało, grał.

Wieczorami, powróciwszy z pracy, Wasajtis siadał na przyźbie i grał dopóty, dopóki go żona z łajaniem i krzykiem nie zapędzała do kolacji. Ja wsłuchiwałem się w uroczę tony i podziwiałem zręczność grubych, z czarnymi paznokciami palców, które bardzo prędko, rytmicznie biegały po długich rządach klawiszów.

Sobotami i niedzielami we wsi urządzano wieczorynki. Wtedy we wsi, oprócz Wasajtisa nie było innych muzykantów. Jakiś parobczak, przechodząc ulicą koło Wasajtisowego domu, wykrzykiwał: Wasajtis, dziś wieczorynka! Przyjdź!

I Wasajtis zawsze szedł. Wcisnąwszy się w kąć, by nie przeszkadzać tańczącym, grał i grał bez zmęczenia. Chłopcy z dziewczętami tańczyli, swawolili. Muzykanta nikt nie widział; zda się harmonja sama, niczem nakrecona maszyna, mechanicznie wydawała

naszych konserwatorów i dekoratorów. Przeczy on zadaniom pracy, której podjęli się ci panowie. Nic też nie ma wspólnego ze sztuką. Świadczy jedynie o braku poczucia estetycznego u tych, którzy zmopolizowali wszelką inicjatywę i pracę nad gospodarką naszą w dziedzinie estetyki.

Ale nie koniec na tem.

Ze źródeł wiarygodnych dowiadujemy się, że napis „Sub Tuum praesidium confugimus”, umieszczony oddawna na froncie kaplicy, ma być zastąpiony napisem polskim. Podobno już nawet są wykonane złote litery (czemu nie amarantowe?) i czekają tylko na umocowanie do ściany. W ten sposób ad hoc wyłoniona komisja, z proboszczem ostrobramskim na czele, chce postawić wilnian przed faktem dokonanym.

Zamierzenia wspomnianej komisji stały się wiadome niektórym Litwinom wileńskim. Skierowali oni natychmiast delegację do arcybiskupa z prośbą o wyjaśnienie. Arcybiskup Jałbrzykowski oświadczył, że w tej sprawie nic mu nie wiadomo. Odpowiedź ta wywołała zrozumiałe zdziwienie, ponieważ kto jak kto, ale najwyższa władza duchowna powinna wiedzieć co się dzieje w Ostrej Bramie i jakie projekty ma komisja, powołana do konserwacji kaplicy. Pozostaje jednak cieszyć się, iż arcybiskup przyrzekł wystąpić w obronie łacińskiego napisu.

Gdy w ten sposób plany komisji zostały zaszczytowane, nie pozostało nic innego, jak odwołać się do opinii wileńskiej kołtunerji endeckiej. Pierwszy zażył larum „Dziennik Wileński” a za nim inne konkurujące z „Dziennikiem” brukowce endeckie. Wyśunięto poważny argument: napis łaciński, podobno umieszczono na rozkaz Murawjewa, przedtem miał być polski. Mniejsza jednak o to, z jakiego powodu nastąpiła ta zmiana. Chodzi o to, czy obecny stan rzeczy istotnie jest rażący i nieodpowiedni, by wprowadzać doń inowacje?

Nie trzeba chyba szeroko rozwodzić się nad tem, że w naszym kraju język łaciński pozostał już niemal jedynym czynnikiem łączącym katolików bez

różnicy narodowości. Czyż można choćby na chwilę przypuścić, że władze duchowne, o ile dbają o dobro Kościoła, zechcą ten czynnik łączący różnorodną ludność, stawiać poniżej nakazów polskiego szowinizmu? Czyż można dopuścić, by przedmiot kultu religijnego stał się kością niezgody i pogłębiał jeszcze bardziej nienawiść plemienną?

Na to odpowiedź może być tylko jedna: stanowczo nie! Nie trzeba bowiem ani na chwilę zapominać, że Ostrobramę odwiedzają nie tylko Polacy ale i olbrzymie rzesze Litwinów i Białorusinów. Zamiata napisu łacińskiego na polski zawsze przypominałaby o upośledzeniu innych języków miejscowych i niepotrzebnieby drażniła Litwinów i Białorusinów. A nie leży to ani w interesie katolicyzmu ani w interesie zgodnego pożycia ludności.

Panom z pod sztandaru endecji pozostaje tylko poradzić, że jeśli im jest tak niemiły neutralny język łaciński, niech zaatakują przedewszystkiem mszał. Nikt im wtedy nie odmówi konsekwencji, no, i prawdopodobnie zrozumienie ewangelji, śpiewanej przez księdza, podziela na nich budująco...

Al. S.

Z niedawnej przeszłości.

(Sprostowania i uzupełnienia).

II.

Robert hr. Kaiserling, b. prezydent landtagu pruskiego, odwiedził w Kownie biskupa Karewicza na parę miesięcy przed jego podróżą do Berlina. Na wstępie oświadczył on w tonie radosnym nowinę, że w Berlinie zdecydowano nie przyłączać Litwy do... Prus, lecz tylko inkorporować jako oddzielny *Staat* do *Bundesstaatu Deutschland*. Biskup Karewicz na to odpowiedział: „Jeżeli — *sic fata tulere, sic superi statuere*, uchylimy głowę, lecz dobrowolnie Litwa dać się wcielić, nawet jako *Bundesstaat*, nie może,

owe melodje cudne. Od czasu do czasu jakiś parobek przystawał przed nim i wydawał rozkaz:

— Zagraj polkę, o, tą: ita. tita, tita;

I natychmiast wesole, dzwiczne tony wywoływały wicher kiecek i potężny grzmot butów.

Gdy zmęczone dziewczęta zbierały się do gromadki i zaciągały piosnkę, harmonja akompanjowała im, jak organy.

Czasami, gdy w czasie przerwy któryś z chłopców brał harmonję i zaczynał ją męczyć, dziewczęta drwiły z niego:

— Ty nie grasz, lecz drzewo rąbiesz...

Ale pod temi drwinami ukrywało się pragnienie zacementowania zepsutego, ładnego, znającego swą wartość chłopca, który, umyślnie opuściwszy dziewczęta, by te go lepiej cenily, w harmonji chciał ukryć swój zawód, bo ta, z którą on pragnąłby pomówić miłośnie, chłodno z nim się obesła.

Często, całą krótką noc spędziwszy na wieczornym, Wasajtis, nie wypocząwszy nawet, szedł w pole do pracy.

Mój dziecięcy umysł i serce opanowało niezrozumiałe pytanie. W owe czasy zdawało mi się, iż granie na harmonji jest bardzo wielką sztuką, którą tylko wybrani mogą osiągnąć. Tymczasem na Wasaj-

tisa, który tylko jeden w całej wsi był takim artystą, sąsiedzi prawie zupełnie nie zwracali uwagi. Widziałem, że z nim się obchodzą tak, jak ze mną — dzieckiem, które zaledwie paść bydło zaczynało. Gdy zachodziła potrzeba, posługiwano się nim, jak dobrem narzędziem, nie wyrażając wdzięczności, ani też nie podziwiając zdolności jego. Możeby i w dalszym ciągu sądził, iż tak się zawsze postępuje, gdyby nie pewien wypadek, który otworzył mi oczy. Na odpust do naszej wsi przyjechał słynny na całą okolicę muzykant, w lakierowanych butach, w czapce na lewe ucho, z czubem włosów z pod czapki sterzącym. Nasi chłopcy otoczyli go kołem i każdego jego słowa słuchali z taką uwagą, jak gdyby on był prorokiem. Dziewczętom, patrzącym na niego, aż się gorąco od jego wzroku robiło. Za każdą zagraną rzecz słodko dziękowano mu, talent jego chwalono. Lecz on nie umiał grać tylu tańców przeróżnych i piosenek, jak Wasajtis. Byłem tego zdania, iż Wasajtisowa harmonja delikatniej i rzewniej grała, bardziej chwytala za serce.

Nie wytrzymałem. Spytałem Wasajtisa:

— Powiedźcie, czemu wy zawsze im gracie, a oni wam nawet nie podziękują, nawet patrzeć na was nie chcą? Czemu, gdy onegdaj przyjechał mu-

gdyż paragraf 4 niemieckiego prawa państwowego upoważnia obywateli przechodzić z jednego państwa związkowego do drugiego, nabywać w nich posiadłości w postaci domów, ziemi i t. p. *Ostmarkenverein* ma na pogotowiu miliony marek do kolonizowania Litwy, a zarazem do jej zniemczenia". Na dalsze pytanie księcia, skąd wśród Litwinów zapanało obecnie złe usposobienie względem Niemców, Biskup dokumentalnie wykazał gospodarę niemiecką w Litwie i zakończył: „Co zostało dokonane nieuczciwie, czyż nie mści się, panie hrabio?” Okazało się, że Kaiserling był umyślnie przystany dla zbadania, czy zarzuty litewskiej Taryby w przesłanym dla władz centralnych memorjale są słuszne.

W Berlinie ucziwy Erzberger zakomunikował bpowi Karewiczowi, że kanclerz Hertling pozostaje w b. dużej zależności od gen. Ludendorfa i trzeba byłoby wpiery z tym pokonferować. Jak jednak trafić do głównej kwatery (*Hauptquartier*), przyjaciel Litwinów nie mógł wskazać. Wtedy bp Karewicz wpadł na trafną myśl: zatelefonował do znanego już mu hr. Kaiserlinga, oświadczając, że chce go rewizytować. „Dobrze! Prosimy uprzejmie!” — brzmiała odpowiedź. Gdy ks. Biskup opowiedział o swej rozmowie z pos. Erzbergerem i ujawnił chęć widzenia Ludendorfa, rozmówca pochwalił ten zamiar i odrzekł szczerze: „Oczywiście, Ludendorf jest dziś naszym dyktatorem!” Poczem po chwili poszedł do telefonu, kazał się połączyć: *Kreuznach. Hauptquartier. General Ludendorf* i odezwał się doń mniej więcej w te słowa: przyjechał ks. Biskup z Kowna i chce być u Waszej Eksceleńcji. Na to Ludendorf: *Willkommen! morgen um 10¹/₂*.

Następnie hr. Kaiserling zatelefonował do kanclerza Hertlinga. Krótka była ich rozmowa. Hrabia mówił: Przybył biskup kowieński, dziś wyjeżdża do kwatery głównej, wraca pojutrze rano i prosi Waszą Eksceleńcę o posłuchanie. Kanclerz odrzekł zwięźle: *Gut! Uebermorgen 5¹/₂*.

Tak szybko udało się załatwić sprawy, które jeszcze przed chwilą wyglądały, Bóg wie jak zawile. Acz protestant, hr. Kaiserling poradził bpowi Kare-

wiczowi udać się z kwatery głównej do Kolonji, „by odwiedzić naszego kardynała”.

Złożywszy po przybyciu do kwatery głównej krótką tylko wizytę marszałkowi polowemu Hindenburgowi, biskup Karewicz certował się z Ludendorffem nie przez pół godziny, jak pisał „Przeгляд Wileński”, lecz około 2 godzin, od rana aż do wspólnego obiadu. „Dyktator Niemiec” przyjął bpa Karewicza *stromm*, po wojskowemu, oczyma go prześwidrował, poprosił usiąść, poczem zaczął „bombardować” w gniewliwym tonie litewską Tarybę, że zamiast pozytywnie pracować, np. tworzyć ustawy zarządu gminnego i miejskiego, zbiera niekorzystne plotki o *Militärverwaltung* i wysyła skargi do kanclerza. Była to aluzja do słynnego memorjału Taryby o nadużyciach władzy okupacyjnej w Litwie. Ten „huraganowy ogień” na Tarybę trwał blisko kwadrans. Bp Karewicz, wysłuchawszy cierpliwie a spokojnie mowy Ludendorfa, zaczął mu odpowiadać w ten desę: „Eksceleńcio! Zupełnie się zgadzam z tem, że Taryba mogłaby coś pozytywnego opracować, ależ cóż! kiedy *Oberverwaltung Ost*, do chwili mego wyjazdu do Berlina, nie dał jej żadnego projektu do rozważenia i zbadania. Oburzone za przesłanie znanego memorjału kanclerzowi, naczelne dowództwo Wschodu nienawidzi Taryby”. Słowa powyższe ks. biskup poparł niezwłocznie plastycznym opisem niemieckiej gospodarki okupacyjnej na Litwie, wskazując np. na to, jak na rekwirowane przedmioty (bydło, poszor etc.) wydawano przeważnie t. zw. *Trugscheine* (oszukańcze kwity)*). Uśmiechnął się Ludendorf na takie „patrijotyczne” pomysły swych *Feldgrauów*.

Tymczasem bp Karewicz ciągnął dalej, powołując się, że tak on, jak i starsi kapłani w Litwie wyszli ze szkoły niemieckiej (Libawa, Mitawa, Ryga), gdzie mieli zacnych pedagogów Niemców, którzy

* Kwity takie miały nieraz za całą treść drwiny soldateskiej niemieckiej w rodzaju: „Trzymaj pysk, inaczej otrzymasz 50 batów” lub

*Mir Deutschland über alles
Dein dummer Nicolaus bezahle dir alles.*

zykant, to jego tak chwalili, choć on gorzej gra, niż wy?

Wasajtis, pomilczawszy chwilę i jakgdyby coś przeżuwający, odparł:

— Nietrzeba mi, chłopcze, ich podziękowań. Wesolo im — i dobrze...

Pewnego razu o mało co się nie popsuł od dawna zaprowadzony porządek. Zebrali się chłopcy, dziewczęta, a Wasajtisa niema. Posłali pastuszką:

— Pewiedz Wasajtisowi, by prędzej przyszedł. Chłopiec przyniósł wieść nieoczekiwaną:

— Wasajtisowa nie puszca!

Wszystkim aż dech zaparło. Potem jednogłośnie stwierdzono:

— To przeklęta babal

Poszli chłopcy po Wasajtisa. Wasajtisowa spotkała ich na progu z miotłą:

— Idźcie wy od mojej biednej głowy! Ja go nie puszczę. Znalazł się kawaler! Będzie mi się włóczył po wieczorynkach! Niech patrzy żony i dzieci. Dla was, byki, nic, a on, niespawszy, do pracy idzie. Już i latem kaszle... Czy wy mnie z dziećmi wykarmicie, gdy on wyciągnie nogi?

Z wielkim trudem chłopcy uspokoili babę i wyprowadzili muzykanta.

A jednak to było przepowiednią końca.

Pierwszy raz zobaczyłem zmarłego człowieka — Wasajtisa. Szlochałem, zawodziłem — aż rodzice obłąkańcem mię nazwali — sam dobrze nie rozumiejąc, dlaczego: czy żałując Wasajtisa, czy też przestraszywszy się tak niezwykłej rzeczy?

Charakter dzieci jest godzien zazdrości: popłaczą i wkrótce znów się śmieją. Wyszła kałuża mych łez, i ja znów kręciłem się sobie tam, gdzie więcej ludzi i wesela.

Lecz wieś o wiele mniej się weseliła.

Zapachły rozkwitłe czeremchy. Radowały się pola. Pędziłem z jednego końca wsi na drugi, jakgdyby mię kto szczuł psami. Wreszcie za wsią znalazłem dziewczęta, które zasiadły na murawie pagórka i piosnki nuciły. Podbiegłem do nich. Gdy śpiew się skończył, jedna z nich westnęła i, ziewnąwszy, rzekła:

— Dobrze było, gdy żył Wasajtis. Teraz niema muzykanta — chłopcy porozłażą się po innych wioskach i choć weź się i powieś — nudno...

Lecz ja chciałem opowiedzieć nie o Wasajtisie, lecz o Janie Jonajtisie...

(D. C. N.).

zawsze usiłowali wdroić swym uczniom: *Was deutsch ist, das ist ordentlich, gut und ehrlich*. To właśnie było główną przyczyną, dlaczego na Litwie okupację niemiecką przyjęto w pierwszej chwili z nadzieją i oczekiwaniem, że Niemcy raz wreszcie zaprowadzą u nas w kraju przysłowiowy *Ordnung*, a ludności pozwolą oddać się w spokoju pracy kulturalnej. Jakież bolesny zawód spotkał jednak Litwę i Litwinów obecnie! „Ekscelencjo! Byłem i jestem tego przekonania, że Niemcy bez miecza szybciej a lżej będą mogli zdobyć sobie świat, jeśli zechcą mniej zaawansowanym kulturalnie narodowościom dopomóc w ich pracy narodowej, Waszą bowiem jest misją być *instruktorami* narodów. Ekscelencjo! Jego Cesarzka Mość uznała Polskę za niepodległe państwo, gen. Beseler już organizuje i ćwiczy polskie pułki. Czemużby nie uznać i Litwy, jako państwa niepodległego?” itd.

Ludendorf w odpowiedzi uczynił uwagę, że z pułkami polskimi poczyniono już b. smutne doświadczenia. Jak wiadomo, chwalebnie nie dały się one inkorporować do armii austriacko-niemieckiej. Wreszcie generał odrzekł, że jeśli Litwini zgodzą się zawrzeć z Niemcami konwencję, to rząd cesarski istotnie mógłby i Litwie wystawić dokument (*Urkunde*), uznający jej niepodległość. „Tę swą opinię zakomunikuj kanclerzowi Rzeszy”, oświadczył Ludendorf. Potem już spokojnie konferował bp Karewicz z generałem o urządzeniu w Litwie ministerstw i innych spraw, których tyle było czasu wojny światowej, — aż zaproszono obu na obiad do marszałka Hindenburga.

Wielki błąd zakradł się do relacji o kweście dla Litwy w kościołach niemieckich. Dała ona nie 100.000 marek, jak pisał „Przegląd Wil.”, lecz 600.000. Całą tę sumę bp Karewicz otrzymał za pośrednictwem arcybiskupa kolońskiego, kardynała Hartmanna.

Mylnie też zreferowana jest rozmowa bpa Karewicza z hr. v. Büdingen. Ks. biskup opowiedział mu, że smutnej sławy książę Isenburg-Birstein, przy pierwszej swej wizycie w Szawlach, nie znalazł nic rozumniejszego do powiedzenia tamecznemu proboszczowi ks. dr. Jerzemu Galdikasowi, jak te słowa: „No, Litwini muszą być teraz nam Niemcom wdzięczni, żeśmy znowu pozwolili pić im wódkę!” Wiadomo, że władze rosyjskie podczas wojny wzbronili propinacje, zapasy zaś wódki z monopolu wylano poprostu na ziemię. Tymczasem rząd okupacyjny za Isenburga zaczął sam sprowadzać do Litwy z Prus wódkę, by Litwinów rozpajać, a dla siebie mieć interes zyskowy. Książę Isenburg cynicznie ośmielił się wydać o Litwinach sąd, że to taki głupi naród, iż dosyć mu zezwolić *Schnaps zu trinken*, a już wdzięczny będzie Niemcom! Złe jednak trafił książę ze swem przemówieniem, bo akurat na apostoła współczesnego ruchu abstynenckiego na Litwie, wyżej wymienionego ks. dr. Galdikasa, naczelnego prezesa stowarzyszeń *Blaiwybė*. Nic dziwnego, że niezadługo po wizycie Isenburga w Szawlach, władza niemiecka uznała ks. Galdikasa za „wrogo usposobionego do Niemców i wywiozła go do Niemiec na cały czas trwania okupacji.

Spolszczony Łotysz ks. kan. Kryszkijan, zbyt łatwowierny, jak to widać z przyjmowania odrazu za dobrą monetę pierwszej lepszej relacji z ulic m. Kowna lub plotek z prowincji, próbował na początku rządów bpa Karewicza w Kownie ostrzec go przed rzekomym przecenianiem potrzeby i wartości zrzeszeń oświatowych. Nie rozumiał staruszek, że wynarodawiana

i szczypana dotychczas przez wszystkich, niby ów *groch przy drodze*, Litwa zasługiwała, by Kościół ze szczególną pieczołowitością zatroskał się o wszechstronne uświadomienie „małych tego świata”. Zawsze szlachetniejsze było wystąpienie otwarte ks. Kryszkijana od ciemnych intryg, snutych przez innych, a tych też nie brakło.

Przyczyną, dla której bp Karewicz swego czasu zrezygnował z biskupstwa kowieńskiego była *nie* okoliczność, by ktoś „bardziej popularny”, jak pisał „Prz. Wil.”, mógł zostać biskupem kowieńskim, lecz chęć ułatwienia obecnemu Ojcu św. wyboru osoby bardziej cieszącej się u Papieża zaufaniem. Zrozumiałe to całkiem wobec znanych sympatyj polskich pap. Piusa XI.

Pozostaje wreszcie do omówienia zarzut, jakoby bp Karewicz, rządząc diecezją kowieńską, steroryzowany był przez ks. Krupaviciusa i innych księży litewskich. Znany jest *jedyny* wypadek, gdy frakcja krikszczoniów domagała się od ordynarjatu, by ten co było jeszcze nabożeństwa polskiego w katedrze kowieńskiej przeniósł do sąsiedniego kościoła parafjalnego św. Trójcy, a w katedrze kowieńskiej, *na wzór wileńskiej*, zostawił nabożeństwo dodatkowe jedynie w języku państwowym—litewskim.

Opinia polska szukała swym zwyczajem łatwego wytłumaczenia patriotycznej działalności bpa Karewicza i zejście jego od chwili ingressu z drogi utartej przypisała zgubnemu wpływowi księży „litwomaków”, jak śp. Maculewicz (Majronisa), Dąbrowskiego (Jaksztasa) i in. Znowuż niektórzy ziemianie polscy zapisali litewską reformę agrarną i wszelkie doznane stąd, a nieuniknione krzywdy na bieżące konto bpa Karewicza. Pewna polska rodzina ziemiańska, po powrocie z Polski, czyniąc starania o odzyskanie majątku, głośno na licznem zebraniu w Kownie wyrzekła: „Jeśli tylko bp Karewicz zechciał, zawęzałby do siebie ministra rolnictwa ks. Krupaviciusa, a tenby nam na drugi dzień majątek zwrócił!” Oczywiście, poczciwcy o całe niebo przesadzali w ocenie wpływu b-pa Karewicza na ks. Krupaviciusa.

Aktem oficjalnym, gdzie bp Karewicz wypowiedział się w sprawie reformy rolnej, było oświadczenie, opracowane przez *Consilium administrationis bonorum ecclesiarum* (Rada zarządu dobrami kościelnymi), czyli przez ówczesnego sufragana Skwirskiego, prałata dr. Maculewicza (wybitnego moralisty) oraz kanoników Pałtorakasa i Szaulisa. Ogłoszenie tych norm w zasadzie temperowało zbyt radykalne zamysły sejmu, lecz ten w małej jedynie mierze uwzględnił te zalecenia.

Zadnej więc presji czynniki polityczne wśród kleru lub kapituły na bpa Karewicza nie wywierały, działał się raczej odwrotnie, acz bez większego, prawda skutku, co się tłumaczy dostatecznie, jeśli chodzi o litewską chadecję, prądami czasu i brakiem wyraźnych całkiem dyrektyw samego Rzymu. Kryzys dotknął też socjologję chrześcijańską, która usiłuje dziś dopędzić tempo zjawisk dziejowych. Będący w korzystniejszych może warunkach kler polski na terenie sejmu warszawskiego iluż błędnym zarządzeniem też nie umiał w porę zapobiec?!

X. A .S

Przez zemstę.

W roku ubiegłym niejaki dr. Czortkower (oczywiście doktor z austriackim dyplomem) zaszczylił Wileńszczyznę swoimi badaniami naukowymi. Jeździł po wsiach, dokonywał pomiarów antropologicznych pośród mieszkańców, spoglądał im w oczy i coś tam notował. „Znamy się na tem” — pomyśleli mieszkańcy pewnej litewskiej wioski i widocznie wzięwszy tego pana za konfidenta policyjnego, a może za poszukiwacza tytoniu zasianego lub samogonki — przyjęli go wręcz nieuprzejmie. Być może do tego cokolwiek przyczyniło się i brzmienie nazwiska pana Czortkowera. Dość tego, że ten mąż nauki został dotkliwie poturbowany.

Inny uczony wykorzystałby ten fakt dla własnej reklamy. Stałby się ofiarą nauki, dzienniki zamieściłyby jego podobiznę, pisałyby o nim, jak się pisze o ekspedycjach w kraje podbiegunowe. Tanim kosztem pozyskałby sobie popularność, nie mniejszą od popularności prof. Kłosa w Wilnie.

Inaczej zareagował p. Czortkower. W jego płomiennem sercu zapalała za doznaną krzywdę żądza zemsty względem wszystkich mieszkańców ziem litewsko-białoruskich. Postanowił on ni mniej ni więcej — Litwinów, a z nimi razem dla towarzystwa i Białorusinów, wymazać z oblicza ziemi. W tym celu, widocznie nie ufając erudycji własnej w dziedzinie geografii, począł szperać w najnowszych mocarstwowych mapach Polski. A że ostatnimi czasy u nas daje się we znaki nadprodukcja tych map, p. Czortkower miał zadanie bardzo łatwe. Wyszperał mapę niejakiego Fiszera, umieścił ją, rzecz zrozumiała, w „Il. Kurjerze Krakowskim” z dnia 1-VIII b. r., i wraz z innymi rysunkami zaopatrzył je we własne „naukowe” komentarze w numerze następnym.

Jakiej wartości są te wywody, najlepiej dowodzi, miarodajna dla p. Czortkowera, wspomniana mapka. Wskazuje ona, iż pośród zamieszkujących Polskę 8-miu polskich grup etnicznych, najliczniejsza z nich *mazurska, zamieszkuje w zwartej masie obecne województwa wileńskie, nowogródzkie, białostockie, poleskie i częściowo wołyńskie*. Inaczej cokolwiek potraktowane zostały ziemie ukraińskie: tam nie wszędzie widzimy zaludnienie polskie, niema natomiast wzmianki, kto te ziemie zamieszkuje.

Nie można jednak powiedzieć, że pan Czortkower zupełnie zapomniał o Białorusinach i Litwinach. Owszem, gdzieś tam oni w granicach państwa polskiego istnieją, niewiadomo tylko gdzie. Jedno pan Czortkower wie napewno: u Białorusinów, poza mieszaniną najrozmaitszych typów antropologicznych, zaznacza się przymieszka składnika azjatyckiego w postaci typu paleo-azjatyckiego a „Litwin z Kowieńska” (sic) musi mieć włosy rudawo-czarne, skórę jasną, często piegowałą.

Gdybym był specjalistą od podobnych badań — być może polemizowałbym z panem Czortkowerem. Nie trzeba jednak być specjalistą, by przyjść do wniosku, że nasz badacz poplątał groch z kapustą i prawi bzdury. Żadne posługiwanie się terminologią naukową nieznaności przedmiotu nie zasłoni.

O ile zresztą niektóre punkty z artykułów mogą być przedmiotem sporu, wspomniana wyżej mapa, wskazująca, że ziemie białorusko-litewskie są zamieszkane zwartą masą przez Mazurów, świadczy o załganiu się aż do nieprzytomności.

Tyle o wywodach choć nie sędziwego, lecz wielce uczynego męża, pana doktora Czortkowera.

A teraz parę słówek pod adresem wydawnictwa.

Jak wiadomo, Wileńszczyzna, dając rządowi warszawskiemu licznych ministrów, otrzymuje wzamian same miernoty w postaci nauczycieli i urzędników z Galicji.

Tysiącami na głowę jednego ministra.

Ci przybysze obok wszelkich innych inowacji zbitecznych w rodzaju „całują rączki” i „P. T. publiczności”, —

przyczyniają się do rozpowszechnienia rodzimego kurjerka krakowskiego i jego przybudówki „Tajnego Detektywa”. A wydawnictwa te mają już opinię ustaloną. Wystarczy zapoznać się z przebiegiem procesu sądowego w sprawie wydawcy tych pism poła Marjana Dąbrowskiego. Chociaż wskutek wyroku sądu nawet przyjaciele sanacyjni p. poła nawoływali go do złożenia mandatu poselskiego, to jednak dotychczas nic się nie zmieniło i „Il. Kurjer Codzienny” prosperuje w dalszym ciągu, szerząc demoralizację i zdradzając kompletną ignorancję, gdy chodzi o sprawy naszego kraju. Cóż więc dziwnego, że w tej niewybrednej tandecie krakowskiej panowie Czortkowerzy mają wdzięczne pole do popisu?

Byle tylko handel szedł.

S-wicz.

Bibliografia.

Wysłouch Seweryn dr. *Ziemia Oszmiańska na rubieży dwu kultur*. Wilno. 1932.

W Nr. 7 naszego pisma z b. r. zamieściliśmy krytykę artykułu p. Wysłoucha w „Kurjerze Wileńskim” o roli Oszmiany w związku z projektami komisji do usprawnienia administracji. Artykuł ów, znacznie rozszerzony i uzupełniony, ukazał się niedawno w postaci broszury pod przytoczonym wyżej tytułem, jako odbitka z „Pamiętnika Zjazdu Gospodarczego w Oszmianie 11/X 1931 r.”.

Autor rozpoczyna swe wywody od refleksyj historyczoficznych.

„Opatrzność dziejowa — pisze — wyznaczyła każdemu narodowi jakąś misję do spełnienia. Różneżyczne ludy dawnej Rzeczypospolitej niosły na Wschodzie misję „przedmurza chrześcijaństwa”. Polska w ciągu tysiąclecia swego istnienia była szczytem zachodnio-rzymskiej cywilizacji. Dzisiejsza — podkreślamy to z całym naciskiem, nie jest jakimś nowym organizmem państwowym powstałym w wyniku zawieruchy wojennej. Dzisiejsza Polska Niepodległa — to tylko Polska obudzona do samoistnego życia państwowego. Zachowana została ciągłość historyczna, której lata niewoli przerwać i unicestwić nie zdołały. Stąd chlubne, ale też niezmiernie ciężkie dziedzictwo spadło na nasze barki. Dziś, jak przed wiekami, stoimy na posterunku u wschodnich rubieży zachodniej kultury. Nie sprostamy jednak zadaniu, jeśli nie poznamy, zrozumiemy i ukochamy ten trud, jaki przez wieki niosły na swych barkach pokolenia przodków naszych. Zasobni w doświadczenia wiekowej niewoli na dawnych siedzibach przodków naszych musimy kontynuować tę pracę, którą oni spełniali. W przeszłości znajdziemy klucz do zrozumienia teraźniejszości, do odczucia przyszłości”.

Wiele z twierdzeń powyższych możnaby z łatwością zakwestjonować. Chociażby utarte, lecz niedające się naukowo uzasadnić zapatorywanie na rzekome misje dziejowe narodów. Jakąż misję Opatrzność dziejowa wyznaczyła Czechom, Rumunom, Estończykom lub Łotyszom? Również o roli Polski jako „przedmurza chrześcijaństwa” dałoby się dużo powiedzieć. Tę samą rolę spełniały wszakże Austria i Węgry w niemniejszym stopniu. Ale polemika na ten temat zadalekoby nas zaprowadziła. Ograniczyć się musimy do rozpatrzenia zasadniczej tezy autora, że „Oszmiańszczyzna, powołana została przez Opatrzność dziejową do pełnienia trudnej i szczytnej

misji strzeżenia i krzewienia kultury zachodniej na rusko-prawosławnym wschodzie”.

Pomijając mistyczny zwrot o Opatrzności dziejowej (która, według p. Wysłoucha, wyznacza misje nie tylko narodom, ale nawet poszczególnym dzielnicom), należałoby zapytać autora, na jakiej podstawie wyodrębnia on powiat oszmiański spośród innych terytoriów, położonych na granicy dawnego zaludnienia litewskiego i białoruskiego? Ścieranie się bowiem wpływów kalolicyzmu z wpływami prawosławia odbywało się nie tylko w Oszmiańskim, ale wszędzie, gdzie ludność litewska stykała się z ludnością białoruską. Zjawisko zupełnie zrozumiałe. Ludność litewska, porzuciwszy pogaństwo, przyjęła katolicyzm i pozostała katolicką, ulegając późniejszym przeobrażeniom językowo-kulturalnym (procesy polszczenia się i białoruszczenia), natomiast ludność białoruska w chwili, gdy katolicyzm zawitał do W. Ks. Litewskiego, była już chrześcijańska i pozostała w gruncie rzeczy wierna prawosławiu, czego dowodem jest szybki upadek Unji kościelnej w czasach porozbiorowych.

Z małymi wyjątkami granicę rozsiedlenia ludności litewskiej (częściowo następnie zbiałoruszczoną) i białoruskiej można uważać za granicę między ludnością katolicką a prawosławną na całym obszarze W. Ks. Litewskiego.

O jakiejś wyjątkowej roli czy misji ziemi Oszmiańskiej niema mowy, i cała historjografja p. Wysłoucha w zastosowaniu do pow. oszmiańskiego mocno szwankuje.

Wogóle wywody autora nie są dla nas dość jasne. Że na terenie W. Ks. Litewskiego trwa odwieczne zmaganie się wpływów katolickich z prawosławnymi jest rzeczą powszechnie znaną, że Rosja posługiwała się prawosławiem w celach rusyfikacyjnych, a Polska za pomocą Kościoła katolickiego szerzyła polonizację — to również nie ulega wątpliwości, że wskutek tej rywalizacji ludność białoruska (włącznie z litewską, gruntownie zbiałoruszczoną) podzieliła się na dwa odłamy, różniące się ze sobą nie tylko pod względem wyznaniowym, lecz i kulturalnym, a częściowo nawet językowym jest to okoliczność, która najbardziej utrudnia odrodzenie narodowe Białorusinów, ułatwia zaś ogromnie politykę „divide et impera”, stosowaną przez czynniki państwa.

P. Wysłouch zresztą podobnych wniosków ze swych rozważań nie wyciąga, natomiast rozprawia obszernie o potrzebie popierania elementu „tutejszego”, katolickiego i spolszczonego, jako łącznika pomiędzy białoruską ludnością prawosławną a państwowością polską. Nic tedy dziwnego, że omawiana broszura spotkała się z entuzjastyczną oceną ze strony p. W. Charkiewicza w „Słowie”. Winszujemy, ale nie zazdrościmy.

a.

Sprawy Narodowościowe. Czasopismo poświęcone badaniu spraw narodowościowych. R. VI. Nr. 2—3.

Latem ukazał się nowy zeszyt „Spraw Narodowościowych” za m-cie kwiecień, maj czerwiec r. b.

Naczelne miejsce w nim znajduje praca p. W. Pohoreckiego p. t. „Mazury w Prusach Wschodnich”. Na szczególne podkreślenie zasługują zawarte w tym artykule obfite dane liczbowe, dotyczące statystyki językowej, wyznaniowej, wyborów do ciał ustawodawczych i reprezentacyj komunalnych. Dane te, uzupełnione komentarzami autora, wraz z omówieniem spraw szkolnictwa, struktury społecznej i tendencji roz-

wojowych uświadomienia narodowego Mazurów i t. p.—stwarzają kompletny obraz Mazowsza Pruskiego, będącego od wieków terenem ścierania się kultury polskiej z niemiecką.

Następny z kolei artykuł, p. Juljusza Bogensee p. t. „Niemiecko-duńskie stosunki mniejszościowe w Szlezewiku”, omawia kwestje Niemców w Danji i Duńczyków w Niemczech, przyczem podkreśla zasadnicze różnice, jakie między nimi istnieją.

Autor, będąc członkiem mniejszości duńskiej w Niemczech, przedstawia to zagadnienie w sposób zasługujący na uwagę.

W artykule następnym p. t. „Kilka uwag na temat kwestji genetyzacji narodowości białoruskiej” prof. dr. Miron Korduba polemizuje z p. dr. Janem Stankiewiczem, który opublikował w roczniku 1931 „Spraw Narodowościowych” artykuł polemiczny, przeciwstawiający się koncepcji naukowej, popartej przez prof. Kordubę, o istnieniu wspólnoty narodowościowej ukraińsko-białoruskiej przed połową w. XVII. Prof. Korduba całkowicie swą koncepcję podtrzymuje, przytaczając szereg dowodów dla podkreślenia jej słuszności.

Dalej omawiany zeszyt „Spraw Narodowościowych” zawiera tabele podziału ludności Rzeczypospolitej Polskiej na polską i niepolską na podstawie spisów powszechnych z r. 1921 i 1931.

Kronika, jak zwykle w „Sprawach Narodowościowych” bardzo bogata, omawia przejawy życia politycznego mniejszości narodowych w Polsce, przyczem na czoło tego działu wysuwa się sprawa kongresu U. N. D. O., odbytego w marcu r. b.

Omawiany zeszyt zamykają recenzje z wydawnictw, dotyczących spraw mniejszościowych oraz bibliografja (ponad 400 pozycji) książek i artykułów z dziedziny mniejszościowej, które w r. 1931 ukazały się zagranicą.

Książki nadesłane do Redakcji.

Marjan Zdziechowski. *Chateaubriand i Napoleon.* Wilno. 1932. Biblioteka „Źródła Mocy”. Nr. 4.

Odpowiedzi Redakcji.

P. J. Lipskiemu. Uwagi pańskie wyłamują drzwi otwarte. Niejednokrotnie podkreślaliśmy różnice między ideologją krajową a programem demokratów—federalistów. Zaznaczyliśmy to również wyraźnie we wspomnianym artykule. Przytoczone przez Pana słowa o federacji polsko-litewsko-białorusko-ukraińskiej zostały zacytowane nie z artykułu p. Świaniewicza, lecz z artykułu wstępnego p. T. Nagurskiego w tym samym numerze „Włóczęgi”. Wytknęliśmy właśnie tę rozbieżność pomiędzy wywodami p. Świaniewicza a enuncjacją programową Klubu Włóczęgów.

Mimo różnic, jakie nas dzielą, uważamy dążenia federalistów za bardziej bliskie nam i sympatyczne, niż poglądy nacjonalistów i imperjalistów z pod znaku „Dziennika Wil.” i „Słowa”.

OD ADMINISTRACJI.

Z dn. 1 września Administracja pisma przystępuje do normalnego funkcjonowania. Prosimy tedy wszystkich kwartalnych i półrocznych prenumeratorów o odnowienie przedpłaty.

